

Nieco egzotyki z marihuaną w tle

2 maja 2024

Opowiadanie trochę egzotyczne. Nazwa miejscowości, imiona i nazwiska zmienione.

Żelazną podporą zespołu był pomiarowy Abd El Hatif, mieszkający w Igherm. Abd El Hatif wszedł obiema nogami w nowoczesność: zamiast nosić tradycyjne „babusze”[1], przywdział „adidasy made in China” kupione gdzieś na suku[2] za parę dirhamów. Nie śmiałem przypuszczać, że ten symbol nowoczesności wpłynął u niego na zaniedbanie praktyk religijnych: prawowierny muzułmanin przed modlitwą musi dokonać ablucji, w tym również, przynajmniej wieczorem, umyć stopy, a modli się cztery razy dziennie. Tak – czy owak, woń z adidasów Abd El Hatifa pokonywała przestrzeń nawet pod silny wiatr. Wysyłałem go po najdalej ustawione tyczki, co mi pozwalało przez ten czas zaczerpnąć bezwonnego powietrza.

Pozostali pomiarowi w tradycyjnym obuwiu pojawiali się na zmianę i długo nie mogłem rozszyfrować, jakie powody sprawiają, że któregoś dnia nie przychodzi Omar, innego zaś Mohammed. Tajemnicę wyjaśnił niezastąpiony Abd El Hatif. Mohammed dorabiał chałupniczą produkcją cukierków przypominających w smaku polskie „krówki” i sprzedają ich z tacy obnoszonej przed kinem. Produkcja była nieskomplikowana, lecz bywała niekiedy bolesna: na rozgrzaną do stosownej temperatury blachę kuchenną Mohammed wysypywał odpowiednią porcję cukru i szybko ją mieszając, doprowadzał do stanu ciągliwego. Tę masę należało zdjąć z blachy i szybko ponaciągać palcami, nadając jej kształt zbliżony do ciasta na makaron. Faza naciągania gorącego ciasta cukrowego skutkowałą poparzonymi opuszkami palców – niekiedy do tego stopnia, że Mohammed nie był w stanie wziąć do ręki tyczki – wówczas w pracy pojawiał się Omar. Kiedy cukrowy placek wystygł,

Mohammed łamał go na mniej więcej równe, chociaż nieregularne kawałki i szedł sprzedawać produkt przed seansem pod kinem. Z wyprodukowanych w ciągu wieczoru z jednego kilograma cukru „krówek” zdarzało mu się osiągnąć na czysto zysk nawet jednego dirhama, częściej było to jednak mniej. Sardynki marokańskie w puszcze, świetne zresztą, były najtańszą konserwą i kosztowały jednego dirhama[3]...

Omar był dobrym i roztropnym pomiarowcem, ale zdarzały mu się dnie, kiedy chodził jak „na rauszu”, nie przyjmował poleceń i trudno było się z nim dogadać. Któregoś ranka nie przychodził, a zjawiał się Mohammed.

Abd El Hatif wzbraniał się wyjaśnić tę tajemnicę, aż uległ moim naleganiom: Omar palił „kif”, czyli marihuanę. Nie było to pod tą szerokością geograficzną niczym nadzwyczajnym – ot, tak jak u nas: jedni palą papierosy, inni nie. Niemniej jednak, od czasu poznania „sekretu Omara” przestałem wysyłać go z tyczką na niebezpieczne punkty, obawiając się, że mógłby spaść i kark skrzywić.

Władze marokańskie od czasu do czasu przeprowadzały akcje przeciw paleniu „kifu”: w stosunku do tubylców polegały one na kontrolowaniu miasta i łamaniu fajek służących do palenia marihuany. Fajeczka kosztowała tyle, co pudełko sardynek. Natomiast cudzoziemcy złapani na posiadaniu lub paleniu kifu wtrącani byli do więzień, a te nie były w niczym podobne do sanatoriów, domów wczasowych lub więzień z zachodniej Europy. W więzieniach marokańskich (według opowiadań byłego pensjonariusza, potwierdzonych przez odwiedzającego Europejczyków w marokańskich więzieniach Père Blanc[4]) najlepiej czuły się szczury, które bez żenady łaziły po więźniach, nie zważając na ich protesty.

Któregoś ranka, do naszego landrowera stojącego przed skrzyżowaniem podszedł starszy, zakapturzony Arab w burnusie z węzełkiem na kosturze zarzuconym na ramię. Był to ojciec Abd El Hatifa, sierżant armii francuskiej w stanie spoczynku,

weteran walk w Indochinach. Miał na imię Mohammed. Pozdrowiwszy wszystkich uroczystym „saalem alejkum”[5], wymienił kilka zdań po arabsku z synem i poszedł. Abd El Hatif zapytany o rodzeństwo, powiedział, że jest jedynakiem. Jeszcze tego popołudnia, gdy odwiozłem go pod dom, przywitały go wylewnie dwie urodziwe, kołyszące bzulami(6) jak dorodne melony Marokanki, które okazały się być jego siostrami. Następnego dnia wziąłem gagatka w obroty.

Ojciec Abd El Hatifa, sześćdziesięcioletni, szczupły i wyprostowany jak struna Abd El Mumen, wyposażony w podoficerską francuską emeryturę, posiadał cztery żony. Jedną z nich, najstarszą, była czterdziestoletnia Fatima, matka Abd El Hatifa, mieszkająca w Igherm, która obdarzyła małżonka jednym synem i sześcioma córkami – siostrami Abd El Hatifa. Druga żona, młodsza o dziesięć lat od Fatimy, Aïcha, urodziła siedem córek. Trzecia, młodsza od pierwszej o piętnaście lat była matką pięciu córek. Czwarta, najmłodsza dwudziestoczworoletka była bezdzietna i obawiała się, że mąż ją oddali i weźmie sobie młodszą. Policzyłem, że łącznie Abd El Hatif miał osiemnaście sióstr. Wszystkie żony, oprócz Fatimy, mieszkały w okolicznych douarach. Abd El Moumen ściśle przestrzegał harmonogramu odwiedzania żon: w kolejności z każdą spędzał odpowiedni tydzień w miesiącu, po czym pakował swój podręczny dobytek w węzełek i udawał się piechotą kilkanaście kilometrów, by wypełniać małżeńskie obowiązki u następnej.

Kiedy zarzuciłem Abd El Hatifowi, że mnie okłamał, twierdząc, że jest jedynakiem, odparł: „wcale nie! Jestem jedynym potomkiem płci męskiej, kobiety się nie liczą!”.

Autorstwo: Barnaba d'Aix

Źródło: WolneMedia.net

Przypisy

[1] Babusze – tradycyjne miękkie obuwie z zagniecionymi napiętkami wsuwane na stopy.

[2] Suk – targ, jarmark.

[3]] Dirham – moneta marokańska, w opisywanych czasach równa ok. 1/5 dolarów.

[4] Pères Blancs – Biali Ojcowie, zakon misjonarzy działających w Afryce.

[5] Saalem alejkum – zwyczajowe powitanie: bądź pozdrowiony, pokój z tobą.

[6] Bzule – piersi.